



52 CzasKultury 2/2011

# Pozegnanie dzieciństwa. O powieściach Karola Maya

Bronisław Świderski



Twórca Old Surehanda  
chwali ruchliwe,  
nigdzie niezagrzewające  
miejsca grupy mężczyzn,  
którzy są wolni,  
ponieważ nie pracują.

w coraz większe strumienie, które spadały niezliczonymi kaskadami od skały do skały, w dolinę, gdzie pochłaniała je wezbrana rzeka. Zapadła już noc, co chwila huczały pioruny i rozświetlały ciemność...”. W ciemności usłyszałem krzyk ojca: „Gaś światło! Pora spać!”. Obudził się i ujrzał ze swojej sypialni blask latarki, niedostatecznie zakrytej kołdrą. Ale nie chciałem przestać. Opowieści Karola Maya przenosiły mnie tam, gdzie nie istniała ani szara, przygnębiająca szkoła, ani niezadowolony ojciec. Po każdym więc okrzyku jeszcze szczerzej otulałem się kołdrą i wpatrywałem w stronicę książki. Na pogniecionym ekranie pościeli żyły postaci, od których uczyłem się dobra, wolności i siły.

Miałem 12, może 13 lat, gdy przeczytałem tę opowieść po raz pierwszy, by natychmiast zacząć od początku. Naszym domem rządziła prosta zasada: w dzień należy pracować i czytać, a w nocy spać. Ale właśnie tego nie potrafiłem. W nocy układałem namiot z kołdry. Weiskałem się pod nią, w jednej ręce trzymając książkę, w drugiej latarkę. W jej świetle widziałem biegnące konie, niedostępne skały, małe, poruszane podmuchami wiatru krzewy, obojętne chmury... Pod kołdrą było coraz duszniej. Czarna wojskowa latarka ojca parzyła palce – i oto byłem już na gorącym pustkowiu, gdzie „ani samotny dżebel (arab. góra), ani zielona uadi (wąwozy) nie przerywają, jak w Saharze, martwej, jednostajnej pustyni, a cichy bijaw (źródło) nie nasycą ożywczą wilgocią najmniejszej nawet oazy”. Pot zaczął powoli ściekać po moich plecach. W następnej chwili prawie odczułem to, czego doznawali podróżni zmierzający do Firewood Camp, gdy „padał deszcz, a grube na palec strugi wody spływały po olbrzymich pniach, łącząc się u korzeni drzew najpierw w małe, potem

1.

Gdy po wojnie „dobry” komunizm zwyciężył zły faszyzm, straciliśmy pewność, gdzie jest dobro, a gdzie zło. Pojawiło się pytanie: Co sile po dobru, skoro i bez niego zwycięży? Tak wyglądała pierwsza lekcja demoralizacji. Nauczylismy się, że dobro, które przegrywa, przestaje nim być. Wszak „historię piszą zwycięzcy”! To chyba dlatego fascynowali nas silni i w każdej chwili gotowi do walki o życie westmani, spotykający się przy obozowym ognisku, a czasami w miejskiej gospodzie, gdzie – jak u pani Thick – podaje się dobre piwo. Jest to czas falansterów, wypraw do obu Ameryk, aby tam, w „dziewiczycich lasach”, odsłonić autentyczny – czyli „dobry” – rdzeń egzystencji białego człowieka. Utopista Charles Fourier (1772–1837) już wcześniej zorganizował na tym kontynencie socjalistyczne osiedla i sprawiedliwą dystrybucję owoców wspólnego trudu. Twórca Old Surehanda tworzy inną utopię: chwali ruchliwe, nigdzie niezagrzewające miejsca grupy mężczyzn, którzy są wolni, ponieważ nie pracują. May odpakowuje zatem moralność i kulturę europejską z ciasnego systemu norm i praw. +

Autor *Nad Rio de la Plata*, który sam był, jak niebawem zobaczymy, ofiarą niemieckiego sądownictwa, nigdy nie zaniechał jasnego odróżniania dobra od zła. Wysyłając swoich bohaterów w lasy Ameryki lub afrykańskie i azjatyckie pustkowia, chciał jednak pozbawić państwowe instytucje monopolu na sądenie, aby obdarzyć nim jednostkę: Old Shatterhanda, Winnetou, Karę Ben Nemsiego. Amerykanin David H. Thoreau (1817–1862) uciekał przed społeczeństwem w puszcze i lasy swojego kraju. May znalazł w nich (czy dlatego, że odwiedzi Amerykę już po napisaniu swoich książek?) idealny pejzaż dla autentycznej męskiej solidarności i walki ze złem. Bo jego narrator jest wyraźnie stronniczy: wielbi „dobrą siłę”. W jego opowieściach ludzie słabi, nawet gdy nie czynią zła, są lekceważeni i wyśmiewani. W najlepszym wypadku czym prędzej zapominani. W opowieści o Old Surehandzie narrator podda grupę westmanów próbie, której nie umieją sprostać. W trosce o własne życie odmówią udziału w walce ze złem. Wówczas Old Shatterhand „odbierze” im prawo do posiadania czytelnika. Obdarzony dobrym sercem i jeszcze lepszą pamięcią wcale nie stara się zapamiętać imion tchórzy. A może to właśnie stanowi o uroku tych książek: że nazwisko (lub przezwisko) mają prawo nosić jedynie ludzie aktywni? „Indianie – napisze May w *Czarnym Mustangu* – nie nadają dzieciom imion ani nazwisk i każdy musi sam je sobie zdobyć, zasłużyć na nie przez wybitne czyny lub zalety...”. Nie wiem, czy jest to zgodne z historią czerwonoskórych. Jest to z pewnością prawdą pierwszych chrześcijan i późniejszych ruchów rewolucyjnych. Idący za Jezusem musieli przecież – aby się odrodzić – porzucić domy i rodziny oraz związaną z nazwiskiem rodową historię: najdobitniej mówi o tym opowieść o przemianie Szawła w Pawła. Podobny los stał się udziałem wielu insurekcyjnistów, chętnie posługujących się pseudonimami: na-

zwiskami, „na które zasłużyli” dzięki swoim czynom.

2.

Wydaje się, że niemiecki pisarz odnalazł protoplastów swoich bohaterów w greckich mitach, a także w średniowiecznych i romantycznych opowieściach rycerskich. Gdy jednak dawni rycerze głosili chwałę kobiet, to zbudowani z podobnego surowca herosi Maya unikają słabej płci. Jego mężczyźni obdarzają siebie sympatią. Nie chcą nikomu podlegać, a najmniej – Ewie. Brak kontaktu z kobietami pozwala przecież uniknąć „zamknięcia” w rodzinie. Owo odrzucenie domu (związane jednak z pieczołowitym zachowaniem nomenklatury rodzinnej: Winnetou stanie się „bratem” Old Shatterhanda) przypomina ideologie misjonarskich ruchów religijnych lub politycznych. Jak średniowieczni rycerze, wałęsają się westmani po świecie – Old Shatterhand jeździ po całym globie jak po prerii – lecz ich celem nie jest już erotyka rycerskich romansów, czyli obrona miłości, ale etyka: nieubłagany pościg za złem, którego jest pod dostatkiem. Na amerykański Dzik Zachód zjeżdżają wówczas przestępcy, awanturnicy czy ludzie, dla których zabrakło miejsca w Starym Świecie. Na preriach i w powstających dopiero miastach przybierają nowe nazwiska i pseudonimy – to samo uczynią Old Shatterhand, Old Death czy Old Surehand – aby unieważnić mroczną często przeszłość. By zacząć życie „od nowa”. Czy także tutaj nie dobiega nas echo komunistycznych pragnień? Wszak to marksizm chciał wszystko zrobić „od nowa”, pojęciami zaś „stara klasa społeczna”, „stary ład i idee” określał wroga, którego należało zniszczyć. Podobnie jak grecki Herakles, Old Shatterhand wie, że bez aktywności: pościgu, ujęcia i „naprawienia” zła, nie odrodzi się harmonia ludzkiej egzystencji. Dobro jest zatem czynem, a ten, kto nie jest zdolny do czynu, nie może być naprawdę dobry. Z dru-

giej strony, nie można ostatecznie pokonać zła, bo już po chwili pojawi się w innym – lub tym samym – miejscu. I ani zło wcale z czasem nie słabnie, ani Old Shatterhand się nie starzeje. Istnieją w wymiarze mitycznym, a ich starcia są zawsze „od początku”. Łączymy czytając pod kołdrą o arcydzielnych obrońcach dobra – waleczny Niemiec, tak jak mityczni herosi i jak zło, uchodzi z życiem z najcięższych przygód – dowadywałem się, że dla „dobra sprawy” można podawać fałszywe nazwiska, udawać i zwodzić...

3.

Podobnie jak jego bohaterowie, May wielokrotnie i z niezwykłym wysiłkiem starał się rozpocząć życie „od nowa”. I pod różnymi nazwiskami. W autobiografii *Mein Leben und Streben* (Moje życie i dążenia) określa siebie zaimkiem „ja”, ale to samo czyni przecież w powieściach o Old Shatterhandzie, gdzie bohater-narrator nosi jego niemieckie imię. Identyfikuje się ze swoimi postaciami do tego stopnia, że pod koniec życia każe sobie zrobić wiele fotografii w ubiorze Old Shatterhanda i Kary Ben Nemsiego. Ale w jaki sposób pisarz był swoim bohaterem? Chyba niewielu z nas, wielbicieli bystrych oczu westmanów, wie, że twórca tych postaci oślepił wkrótce po urodzeniu w 1842 roku. „Nic nie widziałem – napisze w autobiografii – nie istniały dla mnie figury, formy i kolory, miejsca lub zmiany scenarii. Wyraźnie słyszałem dźwięki i czułem zapachy ludzi i otaczającego mnie świata. Ale to nie wystarczało, aby odgadnąć jego prawdziwy, trójwymiarowy obraz”. W tym czasie babcia czyta mu baśnie. Ich bohaterowie zamieszkują jego wyobraźnię. Dopiero mając 6 lat, odzyskał częściowo wzrok, ale do końca życia posługiwał się szklami. Czy czytający go w świetle latarki chłopiec mógł wiedzieć, że mistrzowsko podchodzący wroga Old Shatterhand, uwalniający w nocy z więzów Winnetou

i jego ojca Inczu-czunę, posługiwał się wiedzą ślepeca dotykającego przedmiotów? I że indiańscy bohaterowie Mayowych opowieści wrażliwość na dźwięki i zapachy („tylko biali rozpalają tak wielkie ogniska, że ich zapach dochodzi aż tutaj”) przejęli od malca godzinami siedzącego w bezruchu? Czy to wówczas bezradny Karol wyobraził sobie, że jest kimś innym: szybkim, silnym i mądrym mężczyzną? „Zauważyłem – napisze – że nie jestem już jednością, lecz osobowością rozbitą, właśnie tak, jak to głosi nowa nauka [czyli freudyzm – B.Ś.], mówiąc: nie jesteś pojedynczym człowiekiem, lecz dramatem. W tym dramacie występuje wiele osób. Niekiedy wyraźnie różnią się od siebie, kiedy indziej zaś są zupełnie do siebie podobne. Wpierw jest «ja», czyli obserwator tego, co się dzieje. Ale kim jest owo «ja» naprawdę i gdzie jest ono ukryte? Tego nie umiałem powiedzieć. Bardzo przypominało mego ojca i posiadało jego wady...”. Konstatacja „osobowości rozbitej” stanowi punkt wyjścia egzystencjalnie rozumianej biografii i często jest bodźcem dla duchowej i fizycznej aktywności jednostki. Od „rozbitcia” do „sklejenia”, od różnorodnych fragmentów do całości – nawet jeżeli nie harmonijnej, to do takiej z jaką da się żyć. Ojciec Karola był ubogim tkaczem, matka zaś akuszerką. Całą nadzieję rodzice złożyli w jedynym synu. To on miał się stać chlubą i ekonomiczną podporą rodziny. By przybliżyć te oczekiwania, ojciec często sięgał po potrójnie skrecony rzemień, który „przed użyciem lubił wkładać do gorącej wody, aby uczynić go bardziej elastycznym i skutecznym” (*Mein Leben und Streben*). Zmusił syna do wstąpienia do seminarium nauczycielskiego, co pozwoliło przyszłemu autorowi Allah il Allah poznać klasyczną literaturę Grecji, Rzymu oraz Wschodu. Podczas pobytu w seminarium May zostanie w 1862 roku oskarżony o kradzież sześciu świec i skazany na 6 tygodni aresztu. Trzy lata później ponowne aresztowanie, tym +

razem, jak się zdaje, spowodowane kradzieżą zegarka. Kariera nauczycielska zostaje przekreślona. Przyszły twórca *Der Eremit* przebywa trzy lata w więzieniu. I wreszcie nowy wyrok – od 1870 do 1874 roku. W tym okresie posługuje się ośmioma „alternatywnymi” biografiami. Przy różnych okazjach przedstawia się jako okulista doktor Heilig, jako wykładowca seminarium nauczycielskiego Lohse, Hermes Kupferstecher (Hermes był greckim bogiem kupców i złodziei) oraz porucznik policji von Wolframsdorf. Kiedy indziej zaś twierdzi, że jest „agentem tajnej policji” – naturalnie bez możliwości ujawnienia nazwiska, wysłannikiem prawnika dra Schaffratha, pisarzem Heichlem z Drezna, będącym nieprawym synem księcia von Waldenburga (zrodzonym ze związku z Matyldą Wadenbach), wreszcie – samym Albinem Wadenbachem, właścicielem posiadłości na Martynice. Zaarrestowany w 1870 roku tam właśnie, do „swojej” odległej plantacji wysłał list z błaganiem o pomoc... Sławny pisarz nierzadko bywał nazywany przez Niemców „kłamcą”, „pozerem”, „hochsztaplerem” wreszcie. Jak mógł bowiem udawać kogoś innego! Popatrzmy zatem, jak kłamie pisarz, który zbudował miasta i osiedla kilku kontynentów, prairie zaś obsadził roślinami... Można po prostu powiedzieć, że postaci wywodzące się z królestwa jego fantazji były prawdziwe, skoro za takie uznali je czytelnicy. Ale powinniśmy tu wspomnieć także o innej prawdzie – związanej z rozwojem własnego „ja”. Oto pisarz „podnosi” ułomki swojej egzystencji, aby złożyć je – w dziele – na nowo. Możemy nawet zaryzykować, że – zgodnie z receptą Kierkegarda na życie autentyczne – powtarza je w swojej imaginacji i w książkach. Okulista doktor Heilig to zapewne reminiscencja oftalmologa, który wyleczył Maya ze ślepoty. „Heilig” oznacza zarówno „świętego”, jak i „uzdrowiciela” – czyż nie był oboma „braciszek Benito, najślynniejszy lekarz północnych

provincji”, któremu udało się (w *Winnetou*) całkowicie uzdrowić szalonego poetę Williama Ohlerta? Agent policyjny, Mr Treskow, którego spotykamy w *Old Surehandzie*, jako żywo przypomina inną „alternatywną osobowość” Maya – „agenta tajnej policji”. Jestem prawie pewien, iż każda z owych fantastycznych postaci, w które wcielał się w latach 1862–1870, znalazła odpowiednie schronienie w ponad 80 napisanych przez niego książkach. Wydaje się zatem, że obecnie nieco inaczej możemy spojrzeć na imiona *Old Shatterhanda*, *Old Firehanda* czy *Kary Ben Nemsiego*. Są one nie tylko pseudonimami, skrywającymi ponurą, często kryminalną przeszłość („Porzucilibyście mnie, gdybyście wiedzieli, kim jestem... mój ojciec siedział w więzieniu” – mówi *Old Surehand*. „Pshaw – odpowiada *Old Shatterhand*, posługujący się także imieniem swojego autora – w więzieniach zamknięto nieraz porządnym ludzi!”). Przede wszystkim są projektami przyszłości. Mówią: Oto, kim chcę być! Kiedy pod koniec życia May stwierdził: „*Old Shatterhand* to ja”, znaczyło to, że jego przeszłość i przyszłość, dzieło i życie naprawdę się spotkały. Słaby, krótkowzroczny chłopiec, ofiara sadystycznego ojca i bezdusznego sądownictwa (badacze z „*Karl-May Gesellschaft*” sądzą, że pisarz był chory psychicznie w latach 60. XIX wieku), u schyłku życia naprawdę okazał się *Old Shatterhandem* – zwycięzcą.

#### 4.

Pozostawmy na boku nadal dyskutowane pytania: Czy May był homoseksualistą? Czy miał osobowość „narcystyczną”? Poświęćmy uwagę innej, naprawdę szokującej, sprawie. Twierdzi się bowiem niekiedy, iż Karol May był „inspiratorem” Hitlera. W jaki sposób May – pacyfista i antyrasista, mógł nim zostać? Pierwszy chyba sformułował to pytanie Klaus Mann, uchodząca z faszystowskich Niemiec.

W 1940 roku opublikował artykuł łączący ze sobą pisarza i zbrodniarza. Zatyłował go Kowboj nauczycielem Führera. Odtąd temat ten przewija się w wielu tekstach. Norweski pisarz Sigurd Hoel napisze w 1946 roku w kopenhaskim dzienniku „Ekstrabladet”, że „ulubionym autorem Hitlera był Karol May, najnikczemniejszy z niemieckich twórców kryminału”. Bliski współpracownik kanclerza Martin Bormann stwierdził, że jako dziecko Hitler z zapamiętaniem czytał powieści Maya „w świetle świecy lub księżycy, za pomocą ogromnego szkła powiększającego”. Albert Speer przypomni w swoim dzienniku słowa Führera, który dzięki Mayowi miał odkryć, że „można poznać świat bez konieczności podróży” (Spandau. The Secret Diaries). Będąc kanclerzem Rzeszy, Hitler otrzymał w prezencie dzieła zebrane Maya. W swoich rozmowach będzie wielokrotnie cytował autora Winnetou.

Oczywiście, pisarz nie odpowiada za sposób, w jaki jest czytany. Ale ta bliskość musi niepokoić. Bo napotykamy tutaj nierzadki przecież przypadek użycia szlachetnego surowca do budowy złych ideologii. May, nazywany przez niektórych badaczy „humanistą”, nie był ideologiem nazizmu. Ale przecież i on dzielił ludzi na „swoich” i wrogów, i jego żywiołem była walka, „dobrem” – czyn, najgłębszym zaś pragnieniem – zwycięstwo. W jego humanistycznych naukach, głoszących równość białych, Indian i Murzynów (jak słynny Bob z Old Surehanda lub Sam z Winnetou) – ale nieobejmujących na przykład Chińczyków, tak pogardliwie opisanych w Czarnym Mustangu – odnajdziemy podniosłe myśli Jezusa i idee pierwszych socjalistów. I chyba właśnie przy okazji lektury Maya warto zapytać, kiedy – i jak – degenerują się „dobre” idee. Dlaczego słowa Jezusa tak łatwo przykleiły się do mieczy krzyżowców, teorie socjalistów zaś potulnie ułożyły się w skrzwawionych dłoniach komunistów?

Wydaje się, że postawa Maya wywodzi się z przejętej od żydów i chrześcijan idei zadośćuczynienia. Ale nawiązywali do niej także bolszewicy, walczący za „uciśniony proletariąt”, i naziści, utrzymujący, iż ograniczone po I wojnie światowej terytorialnie, ekonomicznie i politycznie Niemcy skazane zostały na zbyt surową karę. Także May długo uważał siebie za człowieka skrzywdzonego, dla którego literatura stała się zadośćuczynieniem, może nawet narzędziem wyrównania „porachunków” z krzywdzicielami. Jego krytyka społeczeństwa mieszczańskiego: odraza do życia osiadłego, pieniądza, banków i kupców (którzy są zazwyczaj podli i tchórzliwi), kult silnej jednostki – westmana personifikującego „dobrą siłę” i wolnego od lojalności wobec rodziny, będącego zaś prawodawcą, sędzią i wykonawcą wyroków w jednej osobie, a zatem niedemokratą – oto, gdzie poglądy Maya mogły napotkać nazistowskie (i komunistyczne) pragnienie zmiany świata.

##### 5.

Jako 12-letni chłopiec nic o tym nie wiedziałem. Dziesięć lat później wyjechałem do Danii, gdzie długo obywałem się bez Maya. Gdy po 1990 roku mogłem już odwiedzić Warszawę, wiele razy podchodziłem do ulicznego stoiska z książkami na Nowym Świecie. Za każdym razem mówiłem sobie: Co robisz? Przecież nie jesteś już dzieckiem! Kupiłem Winnetou dopiero niedawno, ale jedynie dwa pierwsze tomy. W trzecim bowiem silny, dobry i nieznanący trwogi Apacz umiera. Nie chciałem jego śmierci. ○

Tekst ukazał się w „Res Publice Nowej” 4/2002, s. 80–84.

Fragment plakatu do filmu **Winnetou i Apanaczi** (1966) [s. 52]